

Miodowa – Widok – Smolna Dolna. Śladami pamięci warszawskich ulic (fragment)

– Kaziu, gdzie ty, do licha, znowu się podziałeś...

Pani Gabriela. Zawsze spokojna i opanowana. Zdenerwowała się nie na żarty. Przetrzęsała w poszukiwaniu Kazia całą kamienicę przy ulicy Miodowej 3, dawny pałac Teppera. Od poddasza aż po piwnice. Kazia nie było w zajmowanych przez nią dwóch pokojach na trzecim piętrze. Kazia nie było na antresoli u malarza Wojciecha Gersona. Nie było w klasach pensji pani Julii Bąkowskiej.

– Może jest w księgarni. Lubi tam przesiadywać – odpowiedziała jej pani Julia, odwracając się do niej z kredą w ręce.

Pani Gabriela zeszła na parter, gdzie od frontu mieściła się księgarnia Natana Gluckberga.

– Nie było u was Kazia?

– Był, ale tylko zajrzał, zapytał o nowości i wyleciał. Jakby się gdzieś śpieszył – zza swojego pulpitu odpowiedział jej właściciel.

Pani Gabriela wpadła nawet do działającego w oficynie zakładu gimnastycznego znanego zapaśnika Mariana Olszewskiego, wzbudzając tam popłoch wśród panów ćwiczących w pasiastych kostiumach. Kazio zniknął jak kamfora. Było jeszcze jedno miejsce, gdzie teoretycznie gimnazjalista Kazio mógł przebywać. Ale pani Gabriela nawet nie pomyślała o tym, żeby go tam szukać. W piwnicach gmachu mieścić się skład win Simona i Steckiego. I rzeczywiście, Kazia nie było także i w tym zakazanym dla niego przybytku.

Kazio tymczasem szedł sobie spacerowym krokiem ulicą Miodową w kierunku Senatorskiej. Przystanął na chwilę przed kuszącą wystawą Wedla. Przetknął ślinę. I pomaszrował dalej. Dziwiły go puste ulice. Był prowincjuszem z biednych i wyludnionych okolic podlubelskich wiosek. Wydawało mu się, że w Warszawie panują tłok, hałas i rozgardiasz. Na rogu Miodowej i Senatorskiej stała grupka chłopców w szkolnych mundurkach. Chciał ich wyminąć, ale zaczepili go.

– A dokąd to kolega gimnazjalista tak się spieszy?

– To znaczy ja...? – bąknął Kazio nieprzygotowany na zaczepkę.

– Tak, tak, ty... i nie udawaj wariata. Gadaj gdzie idziesz, bo...

– Idę sobie pooglądać pomniki – Kazio otrząsnął się już z pierwszego zaskoczenia i przypomniał sobie, po co właściwie przyjechał do Warszawy. Ciotka Gabriela miała mu załatwić przyjęcie do Szkoły Sztuk Pięknych. Będzie studiował rzeźbę.

– Ha, ha – ryknęli śmiechem – to się dobrze składa, bo my też lubimy pomniki... i teatry – dodał któryś z nich – zwłaszcza afisze z repertuarem.

Chcąc nie chcąc, przyłączył się do nich. A raczej oni do niego. Od swoich nowych kolegów dowiedział się, dlaczego warszawska ulica jest taka pusta. Zbliżał się termin spotkania w Warszawie trzech zaborców. 20 października 1860 roku. Cara Aleksandra II, cesarza Franciszka Józefa i Wilhelma Pruskiego. I oni, młodzi entuzjaści trzech filarów Europy, mieli przygotować im godne przyjęcie. A dorosła Warszawa miała im w tym nie przeszkadzać. Z zachowaniem więc należytej ostrożności rozrzucali powitalne ulotki o treści: „Warszawa wkrótce ujrzy w swych murach sępy, które naszą ojczyznę rozszarpały”, „zlatują się kruki, siedźcie w domu gawrony” oraz bardziej poetycko rozbudowane:

„Głupia gawiedzi, odrodne plemię,
Lecisz tłumami na cara zabawy,
Wznosisz okrzyki za to, że twą ziemię
Gnębi, uciska monarcha łaskawy”.

Powitalne hasła oddawały cześć i szacunek dostojnym gościom nawet z afiszów teatralnych. Na afiszu wystawianej w Teatrze Wielkim na placu Teatralnym farsy W.L. Anczyca (autora adaptacji) *Robert i Bertrand, czyli dwaj złodzieje* dopisane było „trzej złodzieje”. Młodzi spiskowcy, przebrani za eleganckich bon vivantów we frakach i jedwabnych szalach, pozostawiali po sobie w sali po spektaklach operowych pokiereszowane obicia w dworskich łóżach i fiolki, które nadepnięte łatwo pękały i z których wylewał się cuchnący płyn. Jego miły zapach czuć było jeszcze przez tydzień po uroczystościach powitalnych.

Kazio, którego nowi koledzy natychmiast ochrztili mianem Anioła, z racji jego rzeźbiarskich ambicji, osobiście zajął się pomnikami. Sobieskiemu w Łazienkach wręczył list od kolegi Zygmunta z placu Zamkowego, w którym Zygmunt prosi pogromcę Turków, żeby przyszedł mu z odsieczą i wypędził z placu rosyjskie tabory, okropnie cuchnące dziegciem. Kopernika na Krakowskim Przedmieściu ubrał w konfederatkę, a do ręki włożył mu kartkę z napisem: „Kłaniam się nisko, Garibaldi blisko”.

Wobec jawnych i ostentacyjnych przejawów sympatii dla zaborców stosowano inne, bardziej radykalne metody. Spiskowcy mieszały się z tłumem, robili swoje i szybko znikali w okolicznych zaułkach. Na placu pozostawiali zdziwieni panowie we frakach skróconych nożyczkami o połowę, przerażone damy w szczątkowych od działania kwasu siarkowego krynolinach. Całe towarzystwo w popłochu wsiadało do karet i znikowało z pola widzenia. Ulica była czysta.

Kazio przeżył trzy najcudowniejsze dni w swoim dotychczasowym spokojnym, ale nudnym i bezbarwnym życiu gimnazjalisty. Nie miał nawet kiedy pomyśleć, że ktoś się o niego martwi. Jego młodzieńczy temperament, żądza przygód, zaszczepiony przez opiekunkę, panią Gabrielę, patriotyzm i towarzystwo prawdziwych artystów, malarzy, rzeźbiarzy z kręgu Szkoły Sztuk Pięknych pochłonięły go bez reszty. Wreszcie na spotkaniu w pracowni Stanisława Szachowskiego, rzeźbiarza, ucznia Szkoły Sztuk Pięknych i jednego z przywódców spiskującej młodzieży, gospodarz zwrócił się do Kazia:

- To ty jesteś ten Anioł, co tak ostatnio dokazuje, prawda?
- Tak.

– No właśnie, a ja nic o tobie nie wiem, podobno przyjechałeś do Warszawy do Szkoły Sztuk Pięknych, ale tam trudno się dostać. Kto cię rekomenduje?

– Pani Gabriela, to znaczy...

– Wiem, wiem, Narcyza Żmichowska... i mieszkasz na Miodowej, w Miodogórze?

– Tak, to jest moja ciotka...

– No, no, to niezła rekomendacja... ale wiesz, że ona należy do millenerów i to, co ty robisz, nie bardzo przypadłoby jej do gustu...

– Dlaczego? Przecież ona też jest patriotką, siedziała nawet w więzieniu...

– Tak, wiem o tym, i bardzo ją cenię za jej działalność społeczną i literacką, ale są między nami pewne różnice... Powiedz, co ona teraz robi, słyszałem, że przygotowuje zbiorowe wydanie swoich pism.

– Nie wiem, nie widziałem się z nią już trzy dni...

– Jak to, to ona nie wie, gdzie byłeś i co robiłeś przez te trzy dni?

– Nie wie...

– Człowieku, przecież ona umiera z niepokoju o ciebie... Musisz natychmiast wracać do Miodogórze.

Powrót Kazia do Miodogórze nie należał do triumfalnych. Po pierwszym frenetycznym wybuchu radości z odnalezienia się zguby pani Gabriela zabrała Kazia do swojego królestwa na trzecie piętro „miodowej kolonii”. Tam akurat odbywało się spotkanie koła millenerów. Same najtęższe mózgi. Karol Ruprecht, Edward Jurgens, Henryk Wohl, Władysław Gołembski.

– Oto on, macie go – powiedziała pani Gabriela surowo, ale z wyraźną ulgą w głosie.

Nie musiała go przedstawiać. Całe towarzystwo było dokładnie poinformowane o wydarzeniu i teraz wszyscy głośno wyrażali swoją radość. Najmniej powodów do zadowolenia miał sam bohater tego wydarzenia, Kazio. Posadzono go na fotelu pośrodku całego zgromadzenia i rozpoczęło się coś, co później, w swojej najgorszej negatywnej formie, będzie się nazywało praniem mózgu, indoktrynacją itp. Nieszczęsny Kazio posłusznie siedział i słuchał, ale niewiele rozumiał z tego akademickiego wykładu o wyższości pracy organicznej nad zrywami powstańczymi. Niemniej jednak na zakończenie przyznał, że źle postąpił i że to się już nie powtórzy.

– Wiesz, Kaziu – powiedziała pani Gabriela, kiedy byli już sami – przypominasz mi pewną postać z mojej książki...

– Jakiej, ciociu? Przecież przeczytałem wszystkie twoje książki.

– Z *Poganki*...

– Beniamina?

– Tak. Ten ubogi, piękny i wrażliwy młodzieniec to ty, a ta olśniewającej urody zła kobieta, Aspazja, to twoja wypaczona, wyidealizowana, bezwzględna wizja ojczyzny, która stawiając niemożliwe do realizacji wymagania, niszczy swoje dzieci. Boję się o ciebie...

Sto lat później. Warszawa. Ulica Klonowa. Liceum Ogólnokształcące im. Nar-

czyż Żmichowskiej. Kwitną kasztany. Stoję na rogu Chocimskiej i Klonowej. Naprzeciwko wejścia do szkoły. Czekam na Beatę. W rękę trzymam białą różę. Jej ulubiony kwiat. Przeszedłem pół Warszawy. Nie mieli w żadnej kwaciarni. Wreszcie wypatrzyłem je w jednej z działek ciągnących się wzdłuż ulicy Wołoskiej. Nie było właściciela. To co miałem zrobić? Przełazłem przez ogrodzenie i zerwałem jedną. Teraz stoję i czekam. Miała здаwać bardzo trudny egzamin z czegoś. Nie pamiętam z czego. Tyle tych egzaminów... I to po francusku. Na pewno zdała. I na pewno na piątkę. Z jej inteligencją. I pamięcią. Zresztą ona wszystko ma na piątkę. Oczy. Usta. Włosy. Sylwetkę. I gust też. Skoro wybrała mnie. No nareszcie. Ktoś wychodzi... Tak, to ona. Ale zaraz... tuż za nią wychodzi jakiś facet... Trzymają się za ręce, uśmiechają się do siebie, i to na pewno nie jestem ja. Tamten – brunet i w okularach. Ja – blondyn i bez okularów. Ja stoję tutaj, sam z białą różą, a on idzie tam, z moją Beatą. A może to jednak nie ona. Sprawdzam. Oczy. Usta. Włosy. Sylwetka. Tak. To ona. Nie ma wątpliwości. Wszystko na piątkę. Tylko ten gust. Z gustu, Beatko, pała. Wyrzuciłem różę do kosza. Spojrzałem jeszcze za siebie. Stali akurat pod tablicą z imieniem patronki szkoły. Całowali się. Ty... ty... poganko! – powiedziałem na głos i odszedłem w stronę dal.

Kazio był oczkiem w głowie pani Gabrieli. Nic dziwnego, że się o niego bała. Znalazła go w lesie. Zwyczajnie w lesie. Gdzieś w Lubelskiem. Działała w tajnej organizacji spiskowej. Był to tak zwany warszawski spiszek rzemieślników, kierowany przez Henryka Krajewskiego. Wystali ją z misją. I tam, w lubelskim lesie, między jednym punktem kontaktowym a drugim, znalazła Kazia. Siedział sobie na pniu i wycinał z drewna zwierzęta, ludzi, świętki. Ale akurat wtedy, kiedy go znalazła, chciał mu się jeść i wyciął sobie z drewna cały obiad z chlebem, ziemniakami, marchewką, kapustą, baraniną, a może jelenim udźcem. Kazio siedział przed szałasem, skleconym z gałęzi i liści. Było to mieszkanie Kazia. Na pytanie pani Gabrieli, kim jest, jak się nazywa, gdzie mieszka, padała jedna odpowiedź. Nie wiem, nie wiem, nie wiem. Nikt się do Kazia nie przyznawał i on nie czuł się przynależny do nikogo. Co miała robić? Sama wcześniej straciła rodziców i, chociaż miała liczne rodzeństwo, wychowywała się wśród krewnych, a od siódmego roku życia w różnych pensjach i zakładach dla panien. Zaopiekowała się Kaziem.

Kazio był teraz formalnie uczniem Szkoły Sztuk Pięknych. Pani Gabriela wyszykowała mu nawet na poddaszu przestronnej kamienicy przy Miodowej 3 małą pracownię, przylegającą do pracowni Wojciecha Gersona. Ta kamienica to istny worek bez dna. Prawdziwa „miodowa kolonia”, pęczkująca nieskończoną ilością architektonicznych rozgałęzień, odnóg, antresoli, aneksów, przybudówek wszędzie i w głąb. Jego twórcą był architekt Efraim Schroeger, pracujący na zlecenie bankiera Piotra Teppera, który został właścicielem budynku w 1773 roku. Tutaj ponoć nawiązał się romans Napoleona z panią Walewską, 17 stycznia 1807 roku. Pałac był wówczas kwaterą ministra Talleyranda. Od roku 1822 do końca XIX wieku kamienica należała do Mikołaja Grabowskiego. Pewne pośrednie przynajmniej związki łączyły panią Gabrielę z pałacem Teppera jeszcze przed okresem

Miodogórza. W 1842 roku mieściła się tam redakcja czasopisma „Nadwiślanin”, które było centralnym organem prasowym cyganerii warszawskiej. Pani Gabriela nie zaliczała się do niej, ale jako jedyna kobieta była członkiem innej, zbliżonej pod względem literackim, grupy powstałej w 1844 roku i noszącej nazwę Cechu Głupców. W jej skład wchodził wybitni wówczas luminarze stołecznej literatury i sztuki jak J.B. Dziekoński, Antoni Czajkowski, Józef Kenig, Teofil Lenartowicz, Ludwik Norwid, Antoni Zaleski, Włodzimierz Wolski. Narcyza Żmichowska należała do Cechu na prawach członka honorowego. Zaliczenie do Cechu było wyrazem najwyższego uznania dla jej talentu literackiego. Każdy z członków oprócz ogólnego tytułu „głupi” miał dodany przydomek. Na przykład Lenartowicz był Tkliwie Głupi, Czajkowski był Wzniośle Głupi, Norwid – Ledwo Głupi, Wolski – Świetnie Głupi. Natomiast Żmichowskiej nadano przydomek Dziwnie Głupiej, ale Wolski, szczególny admirator jej talentu, zamienił ten tytuł na „Dziw! Nie głupia!”

Szkoła Sztuk Pięknych stanowiła centrum konspiracyjnej młodzieżówki. Jej ideowymi i organizacyjnymi przywódcami byli Karol Nowakowski i Stanisław Szachowski. Kazio został prawą ręką Nowakowskiego. W trzydziestą rocznicę bitwy pod Grochowem, 25 lutego 1861 roku, ten skrajny odłam spiskowców planował poważną akcję zbrojną. Chyba nawet już powstanie. Ludzie otaczają Zamek. Grupa szturmowa przedziera się przez kordon wojska. Wpada do pokojów namiestnika. Zmusza go do podpisania rozkazu o poddaniu się Cytadeli. Oczywiście nic dobrego z tego nie wyszło. W starciu bezbronnego tłumu z wojskiem doszło tylko do bójek, indywidualnych pojedynków na szable i kije, szamotaniny, wyrywania sobie godeł i sztandarów, bombardowania żandarmów z okien sprzętami kuchennymi. Aresztowano czołowych demonstrantów, między innymi Nowakowskiego i Szachowskiego. Za to dwa dni później, 27 lutego, nie było już taryfy ulgowej. Warszawiaci zebrali się pod kościołem karmelitów przy ulicy Leszno 50. Żądali uwolnienia aresztowanych studentów. W miarę posuwania się ulicami Lesznem i Długą do pochodu dołączało coraz więcej ludzi. Tłum był znacznie liczniejszy niż przed dwoma dniami. Na placu Zamkowym czekały już na demonstrantów zwarte szereg wojska. I mobilnych kozaków kubańskich na koniach. Wokół placu zaczęto stawiać barykady z dorożek, wozów z cegłami. Na żołnierzy posypały się kamienie i cegły. Generał rosyjski rozkazał strzelać. Tłum się rozbiegł. Na placu pozostało pięciu zabitych i kilkunastu rannych. Studenci aresztowani 25 lutego zostali zwolnieni.

Przeszło miesiąc później, 8 kwietnia, Nowakowski ze swoim adiutantem, Kaziem, zorganizował śpiewy patriotyczne pod figurą Matki Boskiej na Krakowskim Przedmieściu. Otaczała ich pokaźna grupa ludzi. Wszyscy śpiewali. Przytaczali się nowi. Od gmachu poczty przy ulicy Trębackiej przejeżdżała akurat karetka pocztowa. Zgodnie z rozpowszechnionym w owym czasie zwyczajem woźnica zagrał na trąbce *Jeszcze Polska nie zginęła*. To wystarczyło. Wszyscy ruszyli w stronę Zamku. Tam stała w pogotowiu już cała armia. Piechota. Jazda. Kozacy. Tym razem najpierw było wezwanie do rozejścia się. Bez odzewu. Przeciwnie. Tłum narastał. Znowu posypały się kamienie.

Generał rosyjski nie czekał. Wydał rozkaz strzelania. Salwa za salwą. Tym razem tłum się nie rozbiegł. Parł naprzód. Ci na przedzie padali. Po ich ciałach szli następni. Nowakowski niosący krzyż na czele demonstrantów padł ranny od ciosu szablą. Uczeń gimnazjum realnego, Michał Landy, podniósł krzyż, godło powstańcze i zaraz, trafiony kulą, zginął. Kazio chciał wyciągnąć Nowakowskiego z placu, ale uderzony kolbą karabinu w głowę stracił przytomność. Na placu pozostało ponad stu zabitych. Ofiar poległych w uliczkach i zaułkach staromiejskich było znacznie więcej (...).



Andrzej Nowakowski, cykl *Zakazane miasta* (1)